

Szarość jej umysł oplatała swymi ramionami, słowa kobiety docierały do niej niczym zza mgieł. Membrana pomiędzy światami ugięła się pod głosem przyjaciółki niczym pod dotykiem palców. Bańka tańczyła pod naciskiem, uciekając w obawie przed pęknięciem. Szept doszedł do niej niewyraźnie, niezrozumiale.

-... to silny facet, poradzi sobie... - Głos został zagłuszony ciszą.- ... a jemu co teraz powiem? Przecież on roznieśie pół miasta... - I znów, myśli zakręciły się w wirze mgły, zatarły i umknęły niezrozumiale. - Idź... Idź do nich... Do tych za którymi zawsze tęskniłaś. Żałuję, że nie mogłam ich poznać.

Żałuję.

Żałuję.

Ylva... Imię mające w sobie tak wiele znaczeń. Ylva. Ale tak jak nadeszła świadomość, odeszły też słowa, te które chciałaby jej jeszcze powiedzieć, przekazać, przeprosić. Pochłonęła je mgła, łączywie żywiąc się wspomnieniami o przyjaciółce. Znikł jak pod wpływem zaklęcia smutek, żal, znikła duma... I znikł gniew. Gniew. I obawa. O nią, o córeczkę.

- Nemaria? - Słowa te odbiły się od mgły. Odpowiedział jej szelest, gdzieś z prawej. A może lewej. Zewsząd, szelest łopotu tysiąca skrzydeł istot podrywających się do lotu. Nie. Coś innego. Zgrzyt otoczków poruszających się pod stopami. Kto by pomyślał, że drogę do świata bogów wysypano z otoczków.. Zdziwienie znikło szybko, w tym samym momencie w którym dostrzegła z boku kształt ciemniejący pośród mgły.

Przez ułamek sekundy wydawało jej się, że widzi znów to butne spojrzenie.

To nie ona. To nie ona.

Bo oczy kobiety błysnęły spod kaptura złotem, by zniknąć w jego cieniu. To nie ona. To Ona. Bogini.

Upadła na kolana, otoczeki wbiły jej się w staw, jednak nie zważała na to. To Ona. Bogini. Matka.

- To ja. Córeczko. - I chociaż usta skryte w półcieniu nie poruszyły się, jej szept otoczył ją odcinając od obaw i smutku. - Już czas córeczko. Spełniłaś swoje zadanie. Już możesz odpocząć, tak jak kiedyś mnie o to prosiłaś. Już możesz.

Mogę? Spytała w duchu, nie ważąc się wypowiedzieć głośno swych słów. Mogę?

- Bogini! Czemu nie uchroniłaś swojej córki gdy Cię najbardziej potrzebowała?! Czemu nie udzieliłaś jej swego wsparcia? Czemu?! - Głos daka naparł na granicę pomiędzy światami zaburzając spokój mgieł, te zawirowały spłoszone.

Ginter... Tylko on mógł się na to ośmielić, tylko przez jego głos mogła przemawiać taka moc.

Bogini uniosła głowę, lecz kaptur nie odsłonił jej oblicza, ostro zarysowany podbródek skierował się w stronę gdzie winno znajdować się niebo. Czerwień jej szat barwiła mgły.

- Bogini... Czemu? Czemu ją zabrałaś... Czemu ją poświęciłaś gdy nam potrzebna jest jej pomoc... Nie damy rady... Tavar... Czemu ją zdradziłaś? - Głos maga wzmocniony mocą przedzierał się przez granice, lecz nie tylko moc nim kierowała.

- Zdradziłam? - Bogini znów skierowała oblicze ku niej, wąskie wargi wygięła w uśmiech. Ginter nie miał szans jej słyszeć, ale ona tak. Coś w niej się złamało. - Chodź, już czas czekają na ciebie.

I wtedy ich dostrzegła. Stali za nią, wśród mgły. Nie potrzebowała długo się zastanawiać by rozpoznać twarze. Imiona przychodziły do niej wraz z uczuciami, szeregiem targających ją emocji.

Ingeboran, trzymająca w swych rękach zarówno tarczę jak i topór. Z dumą spoglądająca na nią.

Nem, elfka która jej zaufała i to zaufanie przypłaciła życiem. Wyciągała ku niej ręce.

Mirko z szelmowskim uśmiechem, opierając miecz o kark. A obok niego Sonja, o delikatnej rudości zakłętej w złote kosy. Trzymający jej dłoń Valdar wpatrujący się gdzieś w dal, zamyślony.

A dalej za nimi ojciec i matka, z radością wpatrujący się w swą latorośl. I babcia, kobieta która dała jej wiedzę i nadzieję.

Meriel, z dłońmi splecionymi na brzuchu wyraźnie rysującym się pod materią szat.

Z tyłu gdzieś, wśród mgieł Eryka, przedśmiertnie mianowana magniferem.

I Żegota, w dłoniach trzymający łuk. Czekający, cierpliwie. Ile lat?...

Czekają na ciebie. - Głos bogini rozbrzmiał wprost w jej umyśle.

Chciała postąpić krok i kolejny. Ale trzeci głos który przedarł się przez barierę światów zatrzymał ją w miejscu.

- Wybacz mi Lylian. - I chociaż słowa te wypowiedział jeden z Jastrzębców, miała wrażenie, że słyszy je od kogoś innego. - Obyś zaznała szczęścia przy boku swej bogini.

Spojrzała wprost na nią, przenikliwie, mądrze. Westchnęła, niczym rodzic widzący swe uparte dziecko. Wiedzący, że nic nie poradzi.

- Niewiele już zrobisz, nie żyjesz. Wiesz o tym.

Wiem. Lecz nie powiem tego na głos. Wiem. Ale nic nie poradzę. To twoja tęsknota mi przypominała.

Szorstki materiał przesywki pachnącej potem i gorzałką, szorstki zarost na jego szczęce... Bystre spojrzenie spod ronda kapelusza, silne ramie otaczające w talii zapewniające bezpieczeństwo. Skórzana kamizela pachnąca prochem, przybrudzona błotem... Blask słońca odbijający się od blach naramienników.

Tavar westchnęła.

- Idź. - Gdy bogini się obracała, mgła wokół niej wirowała. - Idź z moim błogosławieństwem.

Idź, ale przejście przez mgły będzie dla ciebie równie trudne co dla niego.

Gdy wracała dostrzegła wśród otoczków czerwien sztabu, z kruczym łbem. Zdeptany i poplamiony krwią. Ktoś poruszył się pośród szarości mgieł.

- Ja też czekałem Lylian... Ale idź. Zaczekam. - Wyszeptał gdy szła. - Mogę jeszcze poczekać.

Nie chciała wracać. Już nigdy.

Jak cholernie słowa nie chcą się układać, kiedy trzeba. Kiedy właśnie są potrzebne gładkie, aksamitne sformułowania, takie zdolne wchłonąć łzy, zasłonić drżące usta, słowa, które mają moc dawania jakiejś nadziei, jakiegoś poczucia sensu...

Ylva zgrzytnęła zębami w bezsilnej złości, kopnęła najbliższy leżący kamień, a ból, jaki sprawiło to końcówkom palców, potraktowała jak zasłużony.

Dobrać słowa... „Przepraszam”... Tak, to było podstawowe słowo, jakie cisnęło się jej na usta.

- Przepraszam, Keithen. To nie jest tak, że jej nie zdołałam uchronić... Znaczący jest. Ale to był jej wybór. Wszyscy wiedzieliśmy, że to kiedyś nastąpi, że ona zrobi o ten jeden krok za daleko. Ja nigdy nie wiedziałam, czy ona przypadkiem świadomie do tego właśnie nie dąży. To był jej wybór. Przecież u licha nie była dzieckiem.

Czerwonawy blask ognia migotał na twarzy Styryjki, zaostając jej ściągnięte powagą rysy i odbijając się iskierkami w oczach, w których nie było nawet cienia łzy.

- Ja też tego nie zrozumiałam, naprawdę – kontynuowała – Kiedy padła Dziedziczka, wszystko zawisło na cholernym włosku. Mogłam wtedy do niej doskoczyć, może bym zdążyła, a panny od Daków i tak przecież nie uratowałam. Mogłam. Mnóstwo rzeczy mogłam, które już się nie odstaną. I masz pełne prawo mnie za nie winić – zamyśliła się, po raz tysięczny odtwarzając w pamięci tamtą chwilę.

- Derwan, co ty robisz, u licha, stój!

- Straciłem tarczę, nie chroni mnie już zakęcie!

Trzask broni o umbo okrągłego puklerza zagłuszył przekleństwo, którym Ylva skwitowała oświadczenie Terała. Tuż obok młodziutka dziewczyna, dziedziczka wielkiej sprawy, próbowała utrzymać się na nogach czyniąc coś, czego nie robiła nigdy w życiu – walczyć. Ani jej delikatne ramiona, ani połamana psychika nie wiedziały, jak to się robi, więc odruchowo, czerpiąc z mocy, która płynęła w jej żyłach, próbowała osłaniać się i oddawać ciosy. Pierwszy raz w życiu oddawała zadawane jej ciosy. Mocny uchwyt Derwana przytrzymał ją w pionie, gdy kolejny z Samnijczyków spróbował wyrwać jej tarczę.

- Będę was trzymać! Tylko tak mogę pomóc!

- Cofnij się! Za tarczę! – w tamtej chwili jeszcze Ylva widziała Lylian, jak ta unosi się na łokciu, raniona lekką samnijską szablą, widziała, że to nie jest poważna rana, że zostało jeszcze kilku przeciwników, że mają szansę – Za tarczę, psiakrew!

Derwan nie wytrzymał jednak pod osłoną ich tarcz, pierwszy atak, który wyprowadził, skończył się kontrą i rozcięciem na barku. Widząc, że ani nie pomoże towarzyszkom, ani sobie, Jastrzębiec rzucił się w tył, w gęste zarośla, na chwilę chroniąc się przed atakiem.

Zostały we dwie, niedoświadczona, niewinna dziewczyna, blada, promieniejąca aureolą złotych włosów, z trudem dźwigająca zbyt ciężką, wielką tarczę swoich pradziadów. I ona, agentka wywiadu, w której nie było nic z niewinności, a doświadczenia było aż zanadto.

- Stój, mała! Stój i ani kroku! – wrzasnęła, przylegając plecami do pleców Elenory – Tylko się osłaniaj i stój!

Zostało czterech. Dwóch Qa, dwóch Samnijczyków, poranionych i zmęczonych.

- Stój, mała!

Gdy padł drugi Samnijczyk, usłyszała cieniutki pisk i zrozumiała, że nie ma się po co odwracać. Przed sobą miała najgroźniejszego, bo ubranego w kolczugę, przeciwnika, za sobą lekkozbrojnego, który był ranny. Rzutem na taśmę wymierzyła serię ciosów w głowę wojownika, idąc do przodu nagłą szarżą. Gdy padł, odwróciła się i zobaczyła.

Dziedziczka leżała na ziemi z ostrzem dociśniętym do gardła, ostatni Qa stał nad nią, jego zawzięte spojrzenie mówiło klarownie – to koniec. Ylva nie miała szans zdążyć, była jakieś trzy metry do jego tarczy. Skupiła się na niej, na dziedziczce, pamiętając, że przecież Lylian była tylko ranna, podobnie jak Derwan i Ginter, jeśli to wygra, ocaleją wszyscy... Durny błąd. Jak zawsze, mszczą się niedokładne informacje.

Trzy metry to były dwie sekundy. O sekundę za dużo, żeby powstrzymać obsydianowe ostrze, które rozszarpało krtań Elenory niemal aż po kręgosłup. Kolejną sekundę później ostatni Qa nie żył, a Ylva wreszcie zobaczyła.

Twarz Lylian nie pozostawiała wątpliwości. W szeroko otwartych oczach migotały jeszcze ostatnie iskry, dogasające powoli, uparcie powoli. Styryjka rzuciła na ziemię broń, zostawiając za plecami wszystko, konającą Elenorę, sztandar z półksiężycami, służbę, Styrię, boginię. Przez zaciśnięte gardło nie przeszło żadne „nie!” ani „nie próbuj!”. Wiedziała, co zaszło, widziała leżącego obok nekromantę z twarzą wykrzywioną w potworną maskę, z którego martwej dłoni wypadł miecz. Zaraz obok zbierał się z ziemi Ginter, który niemal natychmiast rzucił się pomóc.

Ylva wiedziała jak użyć jej mocy, jak ją ratować... Szarpnęła płaszcz, przykrywający przyjaciółkę. I zobaczyła obszerną ranę od miecza, który przybił ją do ziemi.

Nie było co ratować.

Za późno.

- Było za późno, Keith. Wiem, jak to brzmi, naprawdę. Nie sądziłam, że ona się poświęci dla tego Daka, że rzuci się na nekromantę, że się wykończy tym przepływem mocy. Nie przewidziałam, nie rozumiałam. Tak, masz prawo mnie za to nienawidzić. Zwłaszcza teraz, gdy wszystko szlag trafił.

Został tylko ten ostatni, bezsensowny i beznadziejny rozkaz. Ten cholerny artefakt sama oddałabym Neyestecae, przyniosłabym jej w zębach, gdyby to miało ocalić życie Lylian. Nie jest wart choćby kosmyka jej włosów... – wspomnienie miłsze i piękniejsze wyrwało na chwilę Ylvę z potoku czarnych myśli.

Kosmyk miedziano-rudych włosów, zapleciony w misterną obrączkę, zniknął zatrzaśnięty wieczkiem maleńkiego złotego pudzderka. Pudzderko stanowiło oczko sporej wielkości pierścionka, który zniknął w dłoniach gwardzisty..

Ylva doskonale знаła ten zawadiacki uśmiech przyjaciela, który w przeszłości sprawiał, że niejedna panna oddałaby wszystko na jedno jego skinienie. Ale widziała doskonale to, co pojawiała się w jego oczach, jakieś ciepłe iskry, i widziała, że tak Keithen patrzy tylko na Teralkę, tylko na swoją Convolv, Powój, Lylian, z tą troskliwością, oddaniem, czułością.

Na rozświetlonym, ukwieconym placu styrgradzkiej świątyni. To było wspomnienie z ich ślubu.

Czternaście lat później nie było już ani świątyni, ani Styrgradu. Ostatni raz widzieli się w Kalidoera Iembatan, gdzie gwardia miała bronić przeprawy. Powspominali, popili. Długo rozmawiali.

- Jest bezpieczna?

- Keith, ona nigdy nie jest bezpieczna.

- Ech, odpuść sobie – zachnął się gwardzista – W tej cholernej Dakonii ma chociaż jakieś wsparcie?

- Wszystko, co mogę dać jej do dyspozycji. Siatkę ludzi, informacje i asekurację, gdyby musiała uciekać, ale nie mogę jej strzec non stop.

- Bogini jej strzeże – w słowach Keithena nie było zbyt wiele przekonania. Jak wszyscy, tak i on od miesiący nie słyszał już głosu swojej patronki – Ale wy strzeżcie jej też. I chcę, żebyś mi obiecała to, o co prosiłem.

- Ech... Powiedziałaam, że zobaczę, co da się... Zresztą, to nie ode mnie zależy – zająknęła się pod wbitym w nią stalowo-niebieskim spojrzeniem – Dobrze, już dobrze, no, obiecuję. To będzie jej ostatnia misja w wywiadzie. Potem bierzecie dzieciaki i wracacie do Caer. Oboje. I futrzak.

- No – mruknął – Złożyłem wymówienie w gwardii. Pewnie odmówią, bo czasy ciężkie.

- Nie odmówią – uśmiechnęła się kącikiem ust – Zapewniam, że nie odmówią.

- Ach, tak – przypomniała sobie Ylva – Jest coś, co muszę oddać twojej córce.

Odpięła zamek w sakwie, przez chwilę szukając wśród akcesoriów, bandaży, eliksirów i podręcznych drobiazgów w rodzaju ostrzy do operacji. Odlewany z brązu pierścień wydawał się dość masywny, widniejący na nim wzorek, jak wiedziała, miał znaczenie tylko dla tych dwojga. Wytarła go z ciemniejących plamek zaschniętej krwi i zawięła w kawałek bandaża.

- Ale wiesz, uratowała tę misję – uśmiechnęła się blado – Serio. Tylko ona umie... umiała tak obracać ludzkie uczucia. Potrafiła sprawić, że ludzie jej ufali, nawet ci nadęci dakońscy wielmoże. Ufał jej ten Teral. Nawet Sędzia Rega. Kiedy przyszło co do czego, trzymała na wszystkim rękę, ten Wergund, który się obwołał księciem na przelęczu, był bezsilny. Stało się dokładnie tak, jak powinno, artefakt miał zostać w naszych rękach, przelęcz powinna zostać zamknięta... Ech... Ona by miała namówić Dragana, żeby stanął po naszej stronie, mając za plecami ścianę gór i przelęcz bronię przez Daków. Cóż, bogini miała inne plany. Jak widać. Ja nie umiem odgadnąć jej planów, ale cholera jasna, Keith, jeśli z tego wyjdziemy, to będzie jakiś pieprzony cud.

Bo naprawdę mało brakowało. I wciąż tego nie rozumiem... Przepraszam cię, Keithen. Wytlumaczenie tego twoim dzieciom mnie przerosło.

Sanktuarium w Bilebrezach składało się z wielu osobnych kompleksów, poświęconych różnym aspektom bogini, niewielkie budynki z pociemniałego od impregnacji drewna okalały ogrody i sady, zamknięte z kolei pierścieniem nieprzebytych puszczy, pełnych groźnych stworzeń o najdziwniejszych kształtach. W tych lasach można było znaleźć pełny przekrój teralskiego bestiariusza, jak śmiali się łowcy potworów. Ylva cieszyła się, że zna drogę i bezpieczne miejsca, oznaczone symbolami bogini, kapłańskie kręgi, w których przed stworzeniami można było się schronić.

W samym sanktuarium ten zadziwiający spokój i życie, płynące zwyczajnym, naturalnym rytmem, który nie dawał się przyspieszać ani zaburzać, sprawiło, że Styryjka miała ochotę ze złością odwrócić się na pięcie i wrócić do swojego świata, gdzie właśnie upadały mocarstwa. Zamknęliście się w swoim bezpiecznym kręgu i udawać, że was to nie dotyczy... Żalotne.

Ciekawe, jak długo wytrzymają wasze kręgi i wasze leśne potworki, gdy zabranie bogów, animujących to wszystko swoją mocą. Co wtedy powiecie? Że dla Qa też możecie hodować zioła...?

- Matka przełożona prosi – jej rozmyślania przerwała szaro odziana dziewczyna wieku może lat 14. Ylva przyjrzała jej się, szukając podobieństwa do Powój czy Keithena, ale nie znalazła najmniejszego. Uśmiechnęła się, skinąwszy z podziękowaniem głową.

Przełożona Cór Widy nie siedziała na podwyższeniu, na rzeźbionym tronie, który stał u szczytowej ściany sali. Stała przy oknie, zaplatając wraz z innymi kobietami warkocz ziół, mający zdobić okna przed nadchodzącym świętem żniw.

- Nie przynosisz dobrych wieści – stwierdziła chłodno. Ylva zmierzyła ją zimnym wzrokiem.

- To wieści dla waszych podopiecznych. Dla was samych chyba nie ma wieści, którymi moglibyście się przejąć. Nie wiem, może to, że susza zniszczyła ogrody w Karantanii, a na przełęczy Visnohora wyschła większość źródeł. Przybyłam do Sonji i Mirka Vanderen.

Kapłanka uśmiechnęła się wyniośle.

- Już po nich posłano. Daruj sobie te złośliwości, Styryjko. Wiemy, że przynosisz wojnę.

Pytanie, skąd to wiecie, zapytała w myślach Ylva, mrużąc oczy. O tym, że Derwan Jastrzębiec zdobył przychylność Dragana i namówił go do wojny, ona sama wiedziała od wczoraj, od swoich ludzi. O całej sytuacji w Terali wiedziała od drugiego dnia, gdy tylko przekroczyła granicę na Visnohorze. Książ wojewoda długo się wahał, ale nie omieszkał uzbroić wszystkich pogranicznych fortalicji, jakie mu zostały po Wergundach, od Widali pod Lędą, aż po Srebrnohorę pod Karantanią. Uciszył ciężką ręką niesnaski między rodami i czekał. Przybycie Derwana i Gintera dar Bronore, wieści, jakie przynieśli z walczącej Dakonii, o tym, że obroniła się forteca na przełęczy Virańskiej i Archibald dar Bregen walczy – przechyliła szalę jego decyzji. Ze szczegółami została jej opisana scena, kiedy stary wojewoda tłumaczył odzianemu w złote pióropusze poselstwu, co zrobił ostatniemu władcy, który zmusił go do hołdu. Święte na całej północy prawa poselstwa nie pozwoliły Draganowi na spektakularne wywalenie posłów przez okno. To nie Samnia, powiedział ktoś. Jeszcze, dorzucił poseł i wtedy podobno kniaziowi puściły nerwy, wdał się w szarpaninę z wysłannikami. Niepotrzebnie, głupio. Ważne, że jednak podjął decyzję. Terala walczy. Może więc zdążą. Gdy tylko postawiła stopę na teralskiej ziemi, natychmiast zaktywizowała całą styryjską siatkę w regionie, do aktywnych i uśpionych agentów poszło hasło najwyższej gotowości. Od Karantanii do Silbrfjell w Górach Caileach w północnym Tryncie przygotowała szlak bezpiecznych schronień, domów, piwnic, leśnych chat, podziemnych schronów w górach. Czekają tam niezbędne akcesoria, broń, rozmaite alchemiczne akcesoria, od preparatów zmieniających kolor oczy, aż po takie, które powodowały kilkuminutową śmierć kliniczną, prócz tego trucizny, usypiacze, blokady przeciw zakłębom, eliksiry podnoszące próg bólu, wyostrzające percepcję, uodparniające na skopolaminę czy amytał sodu. Najprostsze, a niezwykle przydatne przedmioty, pomagające zmienić tożsamość – sygnety rodowe i papiery, barwniki do włosów, stroje, sztuczne blizny. Czekają ich droga, która wymagała staranności,

zadanie, które nie tolerowało błędów. Musieli niezauważeni przejść przez zajęty przez wroga kraj. Musieli mówić z tryntyjskim akcentem, nie rzucać się w oczy, a sporej wielkości tarczę przenieść przez posterunki. Musieli dostać się na Wysokie Ziemie, odnaleźć tam człowieka, którego informacje mogły doprowadzić ich do właściwego miejsca. W tym miejscu musieli zrobić to, co wskazali kapłani Tavar i modlić się, aby to odniosło skutek taki, jak się spodziewali. Musieli zrobić to tak, aby nie wpaść w oczy żadnemu kapłanowi, żadnemu szamanowi, nie pozwolić za żadne skarby, aby ktoś odkrył, co niosą i dokąd. Ona zaś musi to wyjaśnić dakońskiemu wielmoży i teralskiemu watażce, że muszą schować w kieszeń tytuły i tożsamość, honor, godność i umiejętności bojowe. I o to się bała najbardziej...

Tok rozmyślań przerwało jej wejście dzieci. Ylva wciągnęła powietrze. Trudno było nie zauważyć, jak bardzo mała Vanderenówna jest podobna do matki. Przy czym „mała” to było złe słowo. Czternastolatka była niezwykle rozwinięta, jak na swój wiek. W jej ruchach widać było zdecydowanie, w oczach nadmierną dojrzałość. Styryjka przełknęła ślinę przez zaciśnięte gardło.

- Ciociu...

Czarna sukienka, którą Sonja nosiła, sygnalizowała, że wiedzą. Mocno objęła dziewczynkę, w milczeniu, pogładziła dłonią po kasztanowych włosach.

- Przepraszam, mała. Nie mogłam... Nie zdołałam... Jak się dowiedzieliście?

- Beru. Zaczął szaleć i niszczyć wszystko tamtego dnia, jakby chciał się wyrwać, a potem tak strasznie wył... Tak długo wył...

Z trudem opanowała łkanie, wtulając twarz w ramię dziewczyny. Stały tak przez chwilę, aż mała wypłakała się i uspokoiła. Ylva podniosła oczy, trafiając wzrokiem prosto na zimne spojrzenie chłopaka. Opuściła wzrok.

- Mirko, nie...

- Wiem, nie zdołałaś – powiedział poważnym, niskim głosem, w którym dźwięczała bolesna ironia i wyrzut. Zaciśnęła zęby. Należało się jej.

- Nie zdołałam – powtórzyła – Wasza mama... Była wojowniczką, kapłanką... Wiedziała, że któregoś dnia może się tak stać. Ona wybrała sama taką drogę...

- A to zwalnia jej przyjaciół z odpowiedzialności, prawda...? – chłopak nie patrzył już jej w oczy, ale kolejne słowa cięły jak ostrzami – Skoro wybrała, to można posłać ją w takie miejsca, gdzie nikt rozsądny by nie poszedł i dać jej zadania, których nikt by nie wykonał...?

- To nie tak...

- Nie?! Pochowałaś ją chociaż?!

- Mirko! – dziewczyna uciszyła brata, kładąc mu dłoń na ramieniu, zanim Ylva zdążyła skłamać – Ciociu. Opowiesz mi wszystko?

- Na pewno chcesz to wiedzieć?

- Na pewno. Beru śpi teraz, ale na pewno chciałby cię zobaczyć. Wiesz, on prawie nic nie je od tamtego czasu. Chodźmy na spacer, dobrze? Proszę... Mirko, wróć do dormitorium.

- Pójdę z wami.

- Nie. Chcę porozmawiać z ciocią sama, dobrze...? Proszę.

Więc przyjdzie mi to opowiedzieć dwa razy, westchnęła Styryjka. Dobrze, jeśli tak musi być.

Mirko nie podał jej ręki ani nawet nie skinął głową. Wybiegł, szybkim krokiem przemierzając zalany słonecznym blaskiem dziedziniec. Wyszły za nim powoli, w nieznośnym, sztucznym milczeniu.

Beru rzeczywiście spał. W wielkiej, krytej słomą stodole miał urządzone całkiem wygodne legowisko, choć w sumie trudno stwierdzić, czy wielka sterta słomy i skór to kwintesencja wygody dla zwierzęcia wychowanego pod ziemią. Był mniejszy, niż go zapamiętała. A może już tak się oswoiła z jego ogromem, że przestał na niej robić wrażenie.

Położyła dłoń na jego ponad półmetrowej kufie. W pierwszym odruchu obnażył zęby i Ylva skrzywiła się mimowolnie na dobywający się od nich smród padliny. Otworzył oczy, ale wiedziała, że patrzy na nią nie nimi tylko swoim wielkim nosem. Obwąchał jej dłoń i zerwał się, zmuszając ją do odskoczenia, bokiem zahaczył jeden z słupów i z powały posypała się słoma i trociny.

- Ciiii, Beru... Szzzzz, perdamaian, sedikit. Kavanan!

- Od kiedy mówisz w kahta? - dziewczyna uśmiechnęła się z dumą, jakby to zdziwienie agentki było dla niej największą pochwałą.

- Nauczyłam się – odpowiedziała – Najpierw w Caer, potem trochę tutaj. Mają tu naprawdę mnóstwo mądrych książek.

Wyszli wszyscy troje, one dwie obok siebie, za nimi olbrzymi, choć wychudzony jaskiniowy niedźwiedź. Sonja w milczeniu złapała ją za rękę, sprawiając, że Styryjka nie zdołała opanować zaciśniętego gardła. Ocieranie łez w sumie nie miało sensu. Szły więc tak, najpierw alejkami przez sady, potem w las. Ylva mówiła, mówiła długo, ze szczegółami, nie oszczędzając ani siebie, ani dziewczyny. Sonja milczała i też nie ocierała łez. Zaciskała tylko dłoń na dłoni Styryjki. W zaroślach słychać było szelesty i szusty – to strażnicze stwory uciekały przez Beru, który niefrasobliwie raz po raz znaczył teren.

Przepraszam, Keithen. Zawaliłam jak szlag i wiem, że ani ty, ani Lylian mi tego nie wybaczą. Nie czekam nawet waszego wybaczenia. Powinnam była zorientować się wcześniej. Obejrzeć się, albo chociaż zabezpieczyć teren. Wziąć o jeden nóż więcej. Tak cholernie zawaliłam... A teraz za to zapłacę, psiakrew, bo pewnie nie zdołam już tego odkręcić.

- Nie mogłaś nic zrobić – szepnęła Sonja, gdy w końcu zatrzymały się nad strumieniem. Gładziła leżącego na boku niedźwiedzia za uszami i obracała w dłoni pierścień matki, który Ylva jej dała chwilę wcześniej – Nie mogłaś, ja pewnie też bym nic nie zrobiła... Kavanan, Beru, kavanan...

- Sonja, to nie jest tak, że oczekuję rozgrzeszenia – Ylva usiadła, opierając się plecami o drzewo – Zdaję sobie sprawę, że w imię niepewnego artefaktu dopuściłam do śmierci najpotężniejszej devi terphilin, najcenniejszej dla nas wszystkich...

- Dla nas wszystkich... – powiedziała dziewczyna w zamyśleniu. Styryjka podniosła wzrok pytająco.

- Taaak – kontynuowała Sonja, kryjąc twarz w futrze zwierzaka – Przecież była dziecięciami bogini. Jej skarbem, jej kapłanką. Tak jak Nemeria dla mamy, prawda?

Wzrok Ylvy był coraz bardziej pytający.

- Co z Nemerią? Maeglim ci powiedział? Gdzie on jest właściwie...? – osztorcowała się w myślach, że nie zapytała wcześniej o elfa, którego Elidis przydzielił tu do ochrony dzieci Lylian.

- Powiedział – głos Sonji zmieniał się stopniowo – Powiedział, że została aresztowana i oskarżona o zdradę. Bo pisała listy do człowieka, którego jej matka przedstawiła jako agenta, a który był w istocie podkupiony przez Qa. Powiedziałaś jej?

- Co powiedziałam...? – nagły niepokój ścisnął Ylvę za gardło – Sonja...

Dziewczyna wstała, twarz miała spokojną, tylko oczy płonęły jakimś dziwnym ogniem.

- Czy powiedziałaś matce przed śmiercią, że jej córka nie zdradziła, że zdradził tylko ten, któremu ona sama zaufała. Powiedziałaś Lylian, że to jej złe decyzje zabiły jej przybraną córkę? Nie sądzę, prawda?

- Rzeczywiście. Prawda – Ylva wstała powoli – Rzecz w tym, że Maeglim tego nie wiedział. Gdzie on jest?

- Nie powiedziałam ci? Zginął, kilka dni temu. Przykra sprawa. Kavanan, Beru...

- Sonja, co tu się dzieje?

- Ty mi to powiedz, szefie wywiadu. Ty mi powiedz, jak to się stało, że moja bogini poświęciła najlepsze ze swoich dzieci w tak głupi sposób... Jak to się stało, że ta, która potrafi przesuwać władców jak pionki i rozgrywać wojny poza polami bitew, nie zdołała uratować najcenniejszej ze styryjskich kapłanek? Kavanan, Beru....! Tahan!

Widząc, co robi niedźwiedź, jak spina mięśnie i tuli uszy, Ylva od dłuższego czasu miała w dłoni płaski nóż, przeklinając w myślach, że nie wzięła ze sobą pełnego wyposażenia. Słuchała słów Sonji i prawda ukazała się jej oczom jakby ktoś zdarł z niej zasłonę. Mogła rzucić. Nie, nie w niedźwiedzia, on by nawet nie poczuł. W dziewczynę. Mogła cisnąć nożem, to były raptem dwa metry. Oko, szyja, skroń... Mogła ją zabić, bez problemu, bez wątpliwości. Jeden celny wypraktykowany ruch, nie dałoby się nie trafić. Dziewczynę o twarzy Lylian, jej córkę... Mogła ją zabić. Zamiast tego odskoczyła w tył, chcąc rzucić się w zarośla, ale nie spodziewając się reakcji magią ze strony dziewczyny, odwróciła się do niej tyłem. Pchnięcie energii rzuciło ją na korzenie drzewa, przeturlała się po nich, ale Beru dopadł ją i uniósł jak pióro, po czym cisnął o ziemię. Poczwała, jak pękają niedawno zaleczone magicznie żebra. Zabrakło jej tchu.

Przepraszam, Keithen, że nie zdołałam zabić twojej córki.

Sonja stanęła nad nią, jedną dłonią głaszcząc niedźwiedzia, który głucho warczał i przyciskał do ziemi łapą Styryjkę. Drugą dłonią bawiła się ostrzem jej własnego noża, po którym przeskakiwały błękitne wyładowania.

- Nie sądziłaś, że mam moc, prawda? Tak cholernie mało rzeczy byłaś w stanie przewidzieć. Jak ślepy fanatyk, widzisz tylko jej rozkazy. Bogini... Wiem, co byś powiedziała, gdybyś się właśnie nie krztusiła krwią, wiem. To, co mówiła matka do znudzenia. Że bogini o nas dba, że dla nas się naraża, że o nas walczy. Powiem ci coś. Dla mnie wasza bogini jest tylko zaborczym krwiożerczym demonem, który opętuje umysły i odbiera rozsądek. Spójrz na swoich ludzi, spójrz na siebie. Nie było zbrodni, do której byście się nie posunęli na jej rozkaz.

Ylva rzeczywiście zaczynała się krztusić, ból odbierał siły i przyćmiewał myśli, które desperacko szukały wyjścia z sytuacji, ale żadnych nie znajdowały. Głos Sonji zaczynał do niej docierać z jakiegoś dystansu, rozmywać się i cichnąć.

- Ona wykorzystała mamę, wykorzystała jej ból i żal, uzależniła ją od siebie, a potem zniszczyła, jak zużyte narzędzie. Powiem ci coś, Ylvo Darren. Ja nie jestem dzieckiem. Mam dość siły, nawet nie wiesz ile. Beru jest mój. Więź z mamą, która pękła w momencie jej śmierci, przeszła na mnie. A ja dokonam zemsty. Nie na tobie, ty jesteś nikiem. Na niej. Na Tavar, tym krwawym bezdusznym potworze, który odebrał mi rodziców i dom. Tak, wytrzeszczaj się. Widzisz to? – wskazała na lśniący już regularnym błękitem sztylet – Znalazłam protektorów. Znalazłam ... opiekunów. I wiem, co mam zrobić, żeby ją zniszczyć. Przysięgałam już przed nimi, ale powtórzę i tobie, bo pewnie zaraz twoja dusza przepełni przez Mgły, więc im to powtórz. Sonja Vanderen zniszczy ich. Stanę razem z Zapołudniem i zniszczę ich. Patrz na mnie! – uderzenie oprzytomniło ją na chwilę, ale brak powietrza i krew zalewająca usta i tak uniemożliwiły odpowiedź. Ostatnie słowa doleciały do niej już z ciemności – Wiedz, zdychając, że całe twoje dzieło pójdzie w drzazgi. Wszystko, o co walczyłaś. Styrię zrównam z ziemią. Gwardię wybiję. Świątynie Tavar zamienię na stajnie dla koni. A ty... ciebie zapamiętają jako zdrajcę, sprzedawczyka który wyparł się swoich... Tak właśnie....

Z ciemności wyrwał ją nagły ból, powietrze rozciągnęło płuca, a te poruszyły niedawnym złamaniem. Jak zza zasłony dochodziły krzyki, odgłosy walki, szczęk stali. Czyjeś ręce podniosły ją z ziemi, szybko i niedbale rozlany eliksir zaszczepił skórę.

- Uważaj, uważaj na niedźwiedzia! – krzyknął ktoś tuż przy niej. Derwan. Zaraz za nim nagły błysk rozdarł ciemność, gdzieś z oddali rozległ się dziewczęcy krzyk i inkantacja. Ginter.

- Możesz wstać? – to do niej. Nie mogę, chciała powiedzieć, ale tylko stęknęła, plując krwią – Musisz. Musimy się stąd...

Dźwięk rogów. Rżenie koni. Jacyś ludzie przy światłach pochodni.

- Uciekła! Ona i niedźwiedź! – Ginter najwyraźniej biegł – Zrywamy się stąd. To ludzie Dragana! – szarpnięcie pod rękę, ból, oparcie na czyimś ramieniu.

- Cholera i jasny szlag... Czekać... Nie zdążymy.

Ciemność. Cisza.

Gdy odzyskała przytomność, było już dobrze ciemno. Pierwsze, co zanotowała, to brak bólu. W pierwszym odruchu chciała dotknąć ręką miejsca złamania i zanotowała też drugi fakt. Że nie może, gdyż nie czuje rąk. Chwilę zajęło jej zrozumienie dlaczego i że to tylko odrętwienie uniesionych nad głowę kończyn. Ręce był związane solidnym rzemieniem i przymocowane do chyba słupa. Co u licha... Skupiła wzrok i spod przymkniętych oczu zaczęła obserwować sytuację.

Obozowisko. Ogniska. Dużo ognisk. Ludzie siedzący przy nich. Żołnierze. Przyjrzała się mundurom. Czerwone tuniki Karanawiców. Brązy Jastrzębców. Zielenie Bobrowiców. Ludzie Dragana.

Dostrzegła sztandary.

Wszystkie obwiązane czarnymi wstęgami.

Spróbowała się poruszyć. Żebra nie bolały, więc ktoś zdążył je poskładać, magicznie zapewne. Gdzie jest Derwan i Ginter... Gdzie jest Sonja... Przy najbliższym ognisku, kilka metrów od siebie dostrzegła pobladałą twarz Mirka, dziewczyny nie widziała nigdzie, nie widziała też Beru.

Spróbowała sięgnąć zdrętwiałymi palcami do karwasza, ale nie miało to najmniejszych szans powodzenia, nawet gdyby nóż wciąż tam jeszcze był. Zostawały tylko słowa, pomyślała. Wreszcie dostrzegła znajomą sylwetkę. Derwan pociągając pozornie niefrasobliwie z kufla, zatoczył się i zaintonował jakiś kawałek, okrutnie fałszywie. Jednocześnie rozejrzał się dyskretnie i podszedł w jej stronę, uśmiechając się do kogoś za jej plecami. Strażnik.

Niewyraźne słowa.

- nie śpiewaj!...

- ... doobra.... mogę ...niej?

-po cholere ... gadać... o czym...?

- ... powie.... dlaczego... do nędzy....

- ... kim ona

- styryjskim... wszyscy to.....

- ...dobra.... chwile....

Szelest, kroki, kniaź przyklęknął obok.

- Co tu się, do ciężkiej cholery...

- Cicho. Słuchaj – szept Terała bynajmniej nie wskazywał na niefrasobliwość, ale musiała się dobrze skupić, żeby zrozumieć jego błyskawicznie i niewyraźnie wypowiedane słowa – Dragan nie żyje. Cicho, mówię. Utonął wczoraj przy przeprawie wojsk przez rzekę. Ktoś, kto badał jego ciało, stwierdził, że był czymś podtruty, nie wiem skąd, ale ktoś rzucił dowodami, że to twoja robota.

- Zwariowałeś...?

- Cicho, psia krew. Wiem, że to nie ty. Ale nie wyciągnę cię teraz, nie ma szans.

- Dobra – odetchnęła głęboko – Jakoś to ogarnę. Bierz artefakt i zasuwaszcie na północ. Wszystko przygotowane. Skrzynkę kontaktową miał Maeglim, znajdźcie jego skrytkę, w sadzie za kapliczką Jordego, pod kamieniem oznaczonym zieloną farbą. Masz tam wszystkie informacje i instrukcje...

- Ten Maeglim wie?
- On nie żyje. Czekaj, jeszcze coś.
- Co?
- Przy mojej sakwie wędrowniej jest list.
- Ten który pisałaś po nocach w obozowisku? Ten do Keithena?
- Tak.
- Gdzie go wysłać?
- Nigdzie. Spal go.
- Co?

- Spal go. Keithen poległ miesiąc temu w Kalidoera Iembatan. Chciałam mu to położyć na grobie, ale teraz lepiej to spal.

- Psiakrew. Lylian wiedziała?
- Nie.

- A ten co z nią tak gawędzi?! – drugi strażnik. Ylva znieruchomiała – Odsuń się od niej!
- Oddasz mi później – szepnął Derwan.
- Co...?

Nagły rozbłysk zdezorientował ją lekko, potrząsnęła głową, żeby ustabilizować wzrok i wtedy padł drugi cios. Gwałtownie wypuściła powietrze i zwinęła się w pól na tyle na ile pozwalały więzy i wtedy poczuła wsuwane we włosy wąziutkie ostrze. Usłyszała śmiech tamtego strażnika i głos Derwana:

- Zabiła mojego wojewodę. Należało się jej. Mam nadzieję, że nie przeżyje przesłuchań.
- Wszyscy na to liczą – odpowiedział tamten, znów dalsze odgłosy, hałasy, ktoś jeszcze podszedł. Korzystając z zamieszania Terał pochylił się jeszcze raz.
- Wybacz. Powodzenia.
- Wzajemnie – mruknęła, podnosząc się – Nie schrzajcie tego.
- Nie daj się zabić.

Gdy się podniosła, kniazia już nie było przy niej.